

Świat po Bushu

Przyszłość polityki USA

AMITAI ETZIONI

socjolog

Amerykańska polityka zagraniczna – uważa Amitai Etzioni – powinna ulec znacznie głębszym zmianom niż te zasugerowane niedawno przez Francisca Fukuyamę, który zdaje się nadal wierzyć w światowe zwycięstwo liberalnej demokracji. Tymczasem „powinniśmy uświadomić sobie, że system polityczny, ku któremu zmierza historia, będzie prawdopodobnie łączył w sobie liberalne elementy ustrojowe oraz kładł większy nacisk na dobro wspólne, wymiar duchowy, religijny i kulturowy, niż to przewiduje model, który propagują Stany Zjednoczone”.

Kandydaci w wyborach prezydenckich 2008 roku pracują już w terenie, a jednocześnie zaczęła się debata o tym, jaki kierunek powinna obrać amerykańska polityka zagraniczna po Bushu. Ważnym punktem zwrotnym w tej dyskusji było zerwanie przez Francisca Fukuyamę, wybitnego naukowca i autorytet intelektualny, ze swoimi kolegami neokonserwatystami. Ich publiczne właśnie przypominają dawne spory między stalinistami i trockistami.

W artykule zatytułowanym „Po neokonserwatyzmie”, opublikowanym niedawno na łamach „New York Times Magazine”, Fukuyama krytykuje politykę zagraniczną Busha i wzywa neokonserwatystów, by przyswoili sobie podstawową lekcję socjologiczną: historii nie da się w istotnym stopniu przyspieszyć, można tylko tu i ówdzie odrobinę nią pokierować.

Paradoksalnie pisarstwo samego Fukuyamy było jednym z ważniejszych źródeł neokonserwatywnego hasła „zdemokratyzujemy świat”. W często cytowanym esejie „Koniec historii” powstałym po zakończeniu zimnej wojny Fukuyama przewidywał, że po upadku komunizmu wszystkie państwa pomaszerują w tę samą stronę: ku demokracji liberalnej. Inni dodali, że ponieważ demokracje nie toczą ze sobą wojen, bezpieczeństwo USA skorzysta na przyspieszeniu globalnej demokracji.

Niedawne wydarzenia – nie tylko w Iraku i Afganistanie, ale również w Rosji, Ameryce Łacińskiej, na Haiti i w Bośni – pokazują, że nie ma wielkiego marszu demokratyzacyjnego i że nawet supermocarstwo niewiele może w tej sprawie zdziałać. Jak pisze dziś Fukuyama, „żądanie demokracji i reform musi wyjść od wewnątrz. Propagowanie demokracji musi być zatem programem długofalowym i elastycznym, wymagającym cierpliwego czekania, aż warunki polityczno-gospodarcze stopniowo ulegną zmianie”.

Fukuyama spodziewa się jednak, że w jakiejś perspektywie czasowej wszystkie państwa staną się liberalnymi demokracjami. Według autora „Końca historii” jest to cel, do którego USA powinny nadal dążyć, ale tylko pokojowymi środkami, na przykład podnosząc budżet National Endowment for Democracy i zwiększając rolę Departamentu Stanu w stosunku do Pentagonu. Z mojego socjologicznego punktu widzenia, potrzebna jest znacznie większa zmiana amerykańskiej polityki zagranicznej. Na krótką metę, zamiast wyszukiwać w świecie muzułmańskim liberalistów, z którymi moglibyśmy się sprzymierzyć (USA właśnie przeznaczyły 85 milionów dolarów na krzewienie demokracji w Iranie), Stany Zjednoczone powinny uznać fakt, że przeważająca część ludności świata muzułmańskiego to ludzie umiarkowani, ale nie demokraci. Nie są zwolennikami wolności słowa ani równouprawnienia kobiet, ale przyznają innowiercom prawo do praktykowania swojej religii, a przede wszystkim sprzeciwiają się przemocy, czy przybiera ona postać terroryzmu, czy zbrojnej agresji wobec innych krajów. Sondaże dowodzą, że na 140 milionów muzułmanów w Indonezji, 70 milionów w Turcji i 32 miliony w Maroku mniej niż 15 proc. popiera zamachowców-samobójców. Wiele wskazuje również na to, że niewielkie jest poparcie dla terroryzmu wśród muzułmanów w Indiach, Malezji i Bangladeszu. Z kolei 84 proc. Palestyńczyków opowiada się za pokojowym rozwiązaniem konfliktu z Izraelem. (Spośród 44 proc. wyborców, którzy głosowali na Hamas, wielu uczyniło tak ze względu na społeczną działalność tego ugrupowania).

Na dłuższą metę powinniśmy uświadomić sobie, że system polityczny, ku któremu zmierza historia, będzie, prawdopodobnie łączył w sobie liberalne elementy ustrojowe oraz kładł większy nacisk na dobro wspólne, wymiar duchowy, religijny i kulturowy, niż to przewiduje model, który przedstawia Fukuyama, a propagują Stany Zjednoczone.

To prawda, że takie kraje jak Chiny pogrążone są obecnie w konsumerystycznym szaleństwie „dorabiania się”, ale moim zdaniem jest to choroba dziecięca, z której państwa wyrastają. Europejczycy od dawna eksperymentują ze społeczną gospodarką rynkową, a spraw kulturowych nie spychają na margines w stosunku do wydajności ekonomicznej. To samo dotyczy wielu krajów, które opatrujemy wspólną etykietką Dalekiego Wschodu. Nawet Stany Zjednoczone co jakiś czas wchodzą w fazę zwiększonego zainteresowania „kapitałem społecznym”, dobrem wspólnym i wartościami moralnymi, a nie tylko rozmaitymi uprawnieniami i swobodami jednostki oraz dobrami materialnymi. System polityczny po „końcu historii” – o ile coś takiego rzeczywiście nas czeka – może sytuować się gdzieś pomiędzy amerykańskim indywidualizmem a tradycjonalizmem mułłów. Wszystko to nie będzie miało większego znaczenia, jeśli po odejściu administracji Busha nie nastanie „epoka restauracji”, w której nastąpi uzdrowienie amerykańskich finansów i sił konwencjonalnych, umocnienie wiarygodności, sojuszy i dobrego imienia USA za granicą.

przel. Tomasz Bieroń

* **Amitai Etzioni**, ur. 1929, socjolog amerykański, wykładowca uniwersytetów Columbia, Harvard oraz George Washington University. W latach 1979–80 był doradcą Białego Domu. Od lat 80. jeden z liderów i intelektualnych patronów ruchu komunitariańskiego, który podkreślał znaczenie wspólnotowego aspektu

demokratycznych społeczeństw. Redaktor naczelny periodyku „The Responsive Community” (1991 – 2004). Opublikował ponad 20 książek, w tym m.in. „The Spirit of Community” (1993), „The Limits of Privacy” (1999) oraz „From Empire to Community” (2004).